

Świat się śmieje

AUTOR: **ERYK MACIEJOWSKI**

■ *Wielki człowiek do małych interesów*: ten raczej długi jak na Aleksandra Fredrę tytuł jest równie dorodny jak ego tytułowego bohatera. Ambroży Jenialkiewicz (Włodzimierz Dylą) to człowiek tak genialny i zakochany w sobie, że nic nie ma prawa mu się nie udać. Cóż poradzić, że nie zawsze się udaje? Przecież to nie jego wina, a zresztą – nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jeżeli plan się nie powiodł, to trzeba obwieścić *urbi et orbi*, że tak właśnie miało być; ba, że ta klęska to właśnie sukces. Otoczenie natomiast po swojemu radzi sobie z jego zapędami; jedni traktują go pobłażliwie i z szacunkiem, inni po swojemu wykorzystują, a jeszcze inni, jak młody podopieczny Jenialkiewicza, Dolski (Adam Rosa), muszą posłusznie podporządkować się jego dziwacznym pomysłom. A pomysły Jenialkiewicza ma równie wielkie jak mniemanie o sobie: wie na przykład, jak załatwić wydelikacnemu Dolskiemu posadę dyrektora Towarzystwa Kredytowego.

Ta pocieszna i mało znana historia, napisana przez Aleksandra Fredrę do szuflady i opublikowana pośmiertnie, jawi się ze współczesnej perspektywy jako jednocześnie i dobra, i niedobra. Dobra, bo ma wyrazistych bohaterów reprezentujących znajome typy charakterologiczne, tak samo aktualne w wieku XIX, jak i dzisiaj – Jenialkiewicz to przecież manipulujący ludźmi i zadufany w sobie janusz biznesu, który używa wpływów do obsadzania krewnych i znajomych w lokalnych strukturach. Jest też niedobra, bo zawarta w niej wizja świata jawi się jako mocno sielankowa. Nie to, że nieprawdziwa; raczej zniekształcona. Widz ma tu przede wszystkim się bawić, a nie prze-

Dramat Fredry w lubelskiej inscenizacji

Anny Wieczur oderwany jest od publicystyki i teraźniejszych kontekstów. Jednocześnie nie mamy do czynienia z teatralną archeologią udającą, że oto oglądamy „teatr jak dawniej”. Reżyserka koncentruje się na tekście, aktorze i dobrej rozrywce.

żywać z bohaterami egzystencjalne rozterki. Intrygi są proste, całość przewidywalna, a prowincjonalna polityka staje się tu tylko zabawą podszytą dobrymi intencjami – chodzi o to, żeby protegowany genialnego ziemianina miał dobrą posadę. Safandulowaty Dolski, chociaż stara się jak może, zupełnie nie odnajduje się w drapieżnym świecie wielkich interesów, ale znacznie bardziej martwi go, że nie spełni oczekiwań Jenialkiewicza i nie zwiąże się z Anielą (Magdalena Zabel) miłością wielką i czystą. Na szczęście (czyżby?) Jenialkiewicz i w tej materii ma wielkie plany...

No dobrze, a co z władzą, pieniędzmi, pożądaniem i innymi paskudnymi rzeczami, o które ludzie podrywają sobie gardła i podkładają świnię? To wszystko gdzieś w tle jest, ale jakby nie było. Bohaterowie są trochę niedoskonali, ale jednak bardzo grzeczni, chcą dobrze i nikt nikomu noża w plecy nie wbija. Mocno to niedzisiejsze, a może i niewczorajsze. Jedynie z rzucanych ukradkiem aluzji możemy domyślać się, że śmiech śmiechem, serce sercem, a tak naprawdę każdemu chodzi o to samo, co zawsze.

Ot i cały Fredro: pozbawiony złudzeń mizantrop, który próbuje oczyścić siebie i publiczność poprzez śmiech, udając, że to, co smutne i przykre, jest tak naprawdę zabawne. Zaklina przy tym rzeczywistość do tego stopnia, że przesadza. Gdy dodamy do tego raczej przewidywalną fabułę, bohaterów mniej wyrazistych niż ci z obowiązkowej dla uczniów *Zemsty* oraz fakt, że *Wielkiego człowieka...* ogłoszono dopiero po śmierci Fredry, to stanie się zrozumiałe, czemu zainteresowanie nim jest raczej nikłe. Dość wspomnieć, że według En-

cyklopedii Teatru Polskiego wystawiano go po 1989 roku tylko czterokrotnie (czyli, w porównaniu z innymi tekstami Fredry, prawie wcale) – omawiana inscenizacja jest piąta – a poprzednia sceniczna odsłona miała premierę aż dziewiętnaście lat temu w krakowskim Starym Teatrze.

Lubelski Teatr im. Juliusza Osterwy po raz kolejny sięga po mniej znany i rzadko wystawiany utwór, żeby odświeżyć go na scenie i przypomnieć widzom. Poprzednie podejście – *Ciężkie czasy* Michała Bałuckiego – wydało mi się średnio udane, na co złożyło się wiele czynników, z nieciekawym, archaicznym tekstem na czele. Na szczęście Fredro to nie tylko każdemu znany klasyk, ale przede wszystkim jeden z najsprawniejszych literacko polskich dramatopisarzy, który nawet w gorszych momentach nie schodził poniżej pewnego poziomu. *Wielki człowiek...* to akurat ten przypadek, gdy był w słabszej formie, i te słabości odnajdziemy także w lubelskim spektaklu. Inscenizacji to jednak wcale nie szkodzi.

Zdaje się, że przy takich tekstach zawsze istnieje pokusa, żeby odnieść je jakoś do współczesności. *Wielki człowiek...* pod nieskomplikowanymi intrygami i perypetiami pociesznych bohaterów opowiada w końcu o uniwersalnych bolączkach świata – a o niekompetencji czy nepotyzmie jest teraz w Polsce głośno – więc perspektywa wbudowania tekstu w aktualny kontekst mogła być duża. Reżyserka Anna Wieczur nie poszła w tym kierunku. Przez dwie i pół godziny zobaczymy na scenie tylko to, co znajdziemy u Fredry – pokazane z szacunkiem dla autora i widza zainteresowanego niegłupią rozrywką na poziomie – w oderwaniu

TEATR
IM. JULIUSZA
OSTERWY W LUBLINIE

*Wielki człowiek
do małych interesów*
Aleksandra Fredry

inscenizacja, reżyseria
Anna Wieczur
scenografia
Anna Haudek
kostiumy
Joanna Organiściak
reżyseria światła
Jędrzej Skajster
muzyka
Ignacy Zalewski

premiera
6 kwietnia 2024

Scena zbiorowa



fot. Bartłomiej Smolak / Teatr Osterwy w Lublinie

od publicystyki i teraźniejszych kontekstów. Jednocześnie nie mamy do czynienia z teatralną archeologią udającą, że oto oglądamy „teatr jak dawniej”. To ma być rozrywka, a nie wizyta w muzeum albo na wiecu politycznym.

Scenografia jest minimalistyczna – kilka niewysokich, jakby betonowych bloków, ale ustawionych tak, żeby nie przytłaczały sceny. Nie da się ich przeoczyć, ale nie narzucają się widzowi; można nadać im różne funkcje, na przykład jednego bloku użyć jako stolika, a na innym położyć się jak na kanapie. Koresponduje to z tekstem – tak! – bo Fredry nie interesują realia, tylko perypetie bohaterów napędzanych uniwersalnymi mechanizmami i motywacjami. Kolorowe, wyraziste kostiumy, stylizowane na dziewiętnastowieczne, są jak spod igły (bo pewnie są) – czyste, świeże, wyprasowane. To świat trochę jak z ekranu telewizora: niby prawdziwy, ale w sumie nieprawdziwy, co nikomu nie przeszkadza, bo nie o to tu chodzi. I nie ma multimedii, więc można odpocząć od nawały bodźców, a to cenna rzecz.

Spektakl skupia się na aktorach, tak jak Fredro na bohaterach. Wykonawcy drobnymi detalami nadają różnym sytuacjom głębi i wyciągają z tekstu niekoniecznie śmieszne podteksty; w teorii powinno tak być zawsze, ale nie zawsze jest. Gdy Dolski mówi Leonowi (Michał Czyż), że jego zdaniem wybory na stanowiska powinny być wolne od wszelkiego

wpływu, a wygrywać powinien najlepszy kandydat, Leon eksploduje sardonicznym śmiechem, od którego trzęsą się ściany teatru. Nie tylko wdeptuje w ziemię złudzenia prostodusznego Dolskiego; to śmiech cynika, doskonale rozumiejącego, jak działa świat. Więcej – to taki śmiech, jakby cały świat śmiał się z biednego Dolskiego. Ten fragment zjeżył mi włosy, a chociaż mówimy o odczuciach bardzo subiektywnych, to fizjologiczne reakcje u widza są zawsze dobrym znakiem. Świadczą, że teatr działa. Bardzo dwuznaczna i świetnie rozegrana jest rozmowa Dolskiego z Matyldą (Jowita Stępiak), co do której nie wiemy, czy traktuje młodziana z sympatią i politowaniem – trochę jak starsza siostra – czy po prostu naśmiewa się brutalnie z jego naiwności i dziecinnej piosenki, której Dolski nauczył się, aby uspokoić nerwy w stresujących sytuacjach. Na dwuznacznych, ale nie wulgarnych, podtekstach mowy ciała zbudowano relację między Matyldą i Karolem (Paweł Ferens) – bohaterowie nie od razu zdają sobie sprawę, że mają się ku sobie, a przecież od początku widać, że coś między nimi iskrzy. Karol robi wrażenie sympatycznego, wiecznie podchmielnego wesołka kpiącego z Dolskiego (który nigdy alkoholu nie pił), ale z tego, jak zerka na butelkę, można łatwo wydedukować, że ma świadomość swojego problemu. Aniela wydaje się niewinna i czysta jak śnieg, ale z jej grymasów

i zachowań widzimy, że związek z podobającym się jej Dolskim to lepszy interes, niż słuchanie Jenialkiewicza pchającego ją w objęcia Leona – i zamierza o tego Dolskiego dyskretnie dbać, bo Dolski, jak to się kolokwialnie mówi, nie ogarnia. A Leon? Nie ma wątpliwości, że na starość będzie kopią narcystycznego i bujającego w obłokach wuja. Jenialkiewicz zaś budzi z początku śmiech i sympatię, ale wkrótce, zwłaszcza wtedy, gdy wybucha gniewem, objawia się jako człowiek męczący i despotyczny, żeby nie powiedzieć: odpychający. Wielkiej psychologii tu nie znajdziemy, ale spektakl ogląda się dobrze.

Wymieniać można dłużej, ale sedno jest takie: nie ma tu ani jednej sceny, w której nie wykorzystano do maksimum możliwości aktorskich zespołu. Dawno nie widziałem w Teatrze Osterwy spektaklu, w którym aktorzy zostaliby tak dobrze poprowadzeni. To solidna średnia, którą nie każdy reżyser potrafi spożytkować z dobrym rezultatem. Tutaj ta sztuka się udała, nawet jeśli finalny efekt raczej nie przejdzie do annałów historii polskiego teatru. Można kręcić nosem, że warto było coś dodać od siebie, że nijak nie rezonuje to z aktualną sytuacją świata albo że kiedyś grano tę sztukę brawurowo – ale co z tego? Dostajemy dobre rzemiosło, dostarczające niegłupiej i niezbyt wymagającej rozrywki na piątkowy wieczór – dokładnie tak jak literacki pierwowzór. ■